

Gruzja znaczy piękno

Maria Przełomieć

Niedawno minęła druga rocznica wojny pięciodniowej pomiędzy Rosją i Gruzją. Większości Polaków do dzisiaj kraj ten kojarzy się ze zdjęciami zbombardowanego Gori. Wyruszyłam w podróż po Gruzji, żeby skonfrontować te wyobrażenia z rzeczywistością.

Myślałam o Gruzji głównie w kategoriach wydarzeń politycznych, może jeszcze gruzińskiego wina. Tymczasem gdy w lipcu, po czternastoletniej nieobecności, wyładowałam w Tbilisi, zobaczyłam kraj borykający się z trudnościami (takimi jak niemal czterdziestoprocentowe bezrobocie), ale zarazem nowoczesny. Kraj, który, jeżeli nikt mu nie przeszkodzi, w ciągu kilku lat może stać się turystyczną potęgą.

3 lipca 2010

W południe wylot z Warszawy do Pragi. Niestety, mimo stale powtarzanych obietnic, Polska wciąż nie ma bezpośredniego połączenia lotniczego z Gruzją. Do Tbilisi przylatujemy z grupą dziennikarzy o godzinie 2.00 nad ranem.

4 lipca 2010

Taras mieszkania w Tbilisi, pierwsze od czternastu lat spojrzenie na stolicę Gruzji. Kopyły starych łaźni, wykładana kolorowymi kafelkami brama, nad miastem wznosi się dwunastowieczna twierdza Narikała. Szokiem są ulice, które w 1996 roku przypominały szwajcarski ser, teraz niektórych nawierzchni mogłaby gruzińskiej stolicy pozazdrościć Warszawa.

Aleja Rustawelego – tbiliskie *corso* – chowa się w cieniu stuletnich platanów. Kafejki, restauracje, eleganckie butik. Czternaście lat temu część sklepów oświetlano świecami, większe magazyny miały własne generatory, które włączano w czasie częstych wtedy przerw w dostawie prądu. W restauracji znowu jak przed laty zachwygam się gruzińskim jedzeniem. Bakłażany, szpinak z orzechami, świeża ryba w ziołach, chaczapuri (rodzaj serowego placka), chinkali (pieróg nadziewany mięsem) i leciutko musujące czerwone wino. Restaurację urządzono na skalistym brzegu Kury, rzeka płynie tuż pod oknem. Widok, jedzenie, cisza – istna

rozkosz. Wczesnym popołudniem restauracja jest pusta, wieczorem pewnie nie da się tu wetknąć szpilki.

5 lipca 2010

Trochę mi żal, że tym razem nie zobaczę jedenastowiecznej katedry Sweti Cchoweli, miejsca koronacji gruzińskich królów, gdzie – jak zapewniają Gruzini – znajduje się szata Chrystusa (pamiętam, jakie świątynia kiedyś zrobiła na mnie wrażenie). Miał ją przywieźć z Jerozolimy Elias, żydowski kupiec, który był świadkiem męczeńskiej śmierci Zbawiciela i odkupił Jego chiton od rzymskich żołnierzy. Przybywszy do Mcchety, dał go swojej siostrze Sidonii. Ta, dowiedziawszy się, jaką świętość przywiózł brat, przycisnęła szatę do piersi i padła rażona trwogą. Została pochowana razem z relikwią, a nad grobem powstała katedra. To legenda, ale może nie tylko? Gruziański Kościół Prawosławny został przecież założony przez św. Andrzeja Apostoła.

6 lipca 2010

Wyruszamy z Tbilisi. W ciągu pięciu dni mamy przejechać niemal całą Gruzję.

Zaczynamy od Gori. Tutaj urodził się Stalin. Obok muzeum stoi wagon-salonka, którą podróżował dyktator (podobnie jak Kim Dzong Il bał się latać), dalej cały w marmurach domek szewca Dżugaszwilego. Rzut oka przez okno: wątpię, żeby uboższego rzemieślnika stać było na takie meble. Taka dziewiętnastowieczna IKEA.

Wejście do muzeum kosztuje 10 lari (około 6 dolarów). Nie zapłacę za oglądanie pamiątek po bandycie. Nie jestem odosobniona. Dwa tygodnie temu władze usunęły z głównego placu Gori sześciometrowy pomnik Generalissimusa, po cichu, żeby nie było protestów. Spotkany pod demontowanym cokołem staruszek nie kryje satysfakcji. Jego zdaniem, obecne awantury z Osetią Południową i Abchazją to też wina Stalina.

Pod Gori wsie uchodźców z ostatniej wojny: gęsto rozstawione domki w maleńkich ogródkach, zagospodarowanych do ostatniego centymetra. Niby nie wygląda to źle, każda rodzina ma swój domek, ale ci ludzie są bez pracy i nie mają praktycznie żadnych szans na powrót do swoich domów. 80 tysięcy przesiedleńców po wojnie pięciodniowej i 250 tysięcy z poprzednich konfliktów – to sporo, jak na niespełna pięciomilionowy kraj. Przestaje mnie dziwić czterdziestoprocentowe gruzińskie bezrobocie.

Przy tym wszystkim państwo działa całkiem sprawnie, wzrost gospodarczy, mimo wojny i kryzysu, jest dodatni i według statystyk w pierwszym kwartale tego roku wyniósł 4,5 procent.

Po południu zatrzymujemy się w Gelati – znanym monasterze z XII wieku, ufundowanym przez króla Dawida Budowniczego (jego syn był tu mnichem). Właściwie są to trzy kościoły i budynek akademii, jednej z najstarszych w Europie. Pod dzwonicą bije źródło, które podobno trysnęło na prośbę króla Dawida. Pijącemu z niego wodę spełni się pomyślane życzenie. Ze starych fresków na ścianach kościoła Najświętszej Marii Panny patrzą gruzińscy królowie, ich żony i dzieci, król Dawid z modelem monasteru w ręku. A w nawie głównej mozaika Matki Boskiej wskazującej trzymanego na ręku małego Jezusa, bizantyńska Hodegetria – to przecież ta sama epoka. Gruzja ma związki z Polską, choćby przez postać św. Grzegorza Peradze – gruzińskiego mnicha, który przed wojną wykładał w warszawskim seminarium prawosławnym teologię. Aresztowany przez Niemców, zginął w Oświęcimiu, tak jak św. Maksymilian Kolbe zgłaszając się za innego więźnia. Dziś jest świętym Cerkwi prawosławnej.

Gruzini przyznają, że Saakaszwili jest porywczy, ale doceniają jego zasługi: wyprowadził kraj z zapaści, ukrócił korupcję, otworzył Gruzję na Zachód.

Nocujemy w Kutaisi, stolicy starożytnej Kolchidy. Tutaj znajdowała się siedziba króla Ajetesza, ojca Medei. W XIX wieku Heinrich Schliemann, odkrywca Troi, chciał prowadzić tu wykopaliska, ale carskie władze nie wyraziły na to zgody. Śladów pałacu nie odnaleziono do dzisiaj. Szukający złotego runa Jazon dopłynął tu na Argo rzeką Rioni. Wychodzą na nią okna mojego pokoju w małym pensjonacie.

Jutro Mestia, stolica położonej na stokach Kaukazu Swanetii.

7 lipca 2010

W okno pokoju w Mestii wchodzi Kaukaz i trzydzieści osiem średniowiecznych rodowych wież, bo u Swanów – gruzińskich górali – każda rodzina miała swoją wieżę do obserwowania okolicy i kłótni z sąsiadami (w razie górętszych sporów w wieżach chroniły się kobiety i dzieci). Podróż była koszmarna, ale pokochałam tutejsze krowy-alpinistki oraz ciemne kudłate świnię łączące przy drodze.

8 lipca 2010

Uszguli leży na wysokości 2300 metrów nad poziomem morza. To najwyżej położona wieś w Europie. Kamienne domy i znowu wieże. Rodzina naszych gospodarzy miała ich siedem, zostały cztery.

Spotkany w barze brat mera wioski opowiada, że zrobił krzesło i stół dla prezydenta Lecha Kaczyńskiego, pokazuje zdjęcia – zdobnictwo przypomina trochę nasze góralskie wyroby. Potem pijemy czaczę (wódka z winogron) za polsko-gruzińską

przyjaźń i za prezydenta Kaczyńskiego, który był prawdziwym mężczyzną. Czacze górale robią sami, trzymają ją w dębowych beczkach. Ma piękny kolor i aromat dobrej brandy. Czacza to coś więcej niż alkohol. Często wzdłuż wijącej się drogi, na brzegach urwiska, mijamy ni to kapliczkę, ni skrzynkę na listy, a w każdej stoi butelka winogronowej wódki. To miejsca, gdzie ktoś zginął. Biorąc pod uwagę stan dróg, ich wąskość, częste zakręty oraz kilkusetmetrowe przepaści, „pocztowych kapliczek” i tak jest niewiele. Drogi są zresztą intensywnie remontowane. Wszyscy wychwalają za to prezydenta Saakaszwilego, choć nam to podróży nie ułatwia.

W drodze do Uszguli zatrzymaliśmy się w miejscowości, której nazwa w języku Swanów brzmi Samotna Wieża. Wieża rzeczywiście stoi na skraju wioski. Wybudował ją przed wiekami naczelnik wsi dla córki rozpaczającej po stracie ukochanego. Umarła tam z żalu. Dzisiaj pod rosnącą obok wieży dziką gruszą siedziały dwie dziewczyny i przepięknie śpiewały. Siostry bliźniaczki – jedna jest nowicjuską we właśnie odbudowywanym żeńskim klasztorze. Wyszły za wieś, żeby pośpiewać nabożne pieśni.

W Gruzji panuje duże bezrobocie, ale państwo działa sprawnie. Wzrost gospodarczy, mimo wojny i kryzysu, jest dodatni, w pierwszym kwartale tego roku wyniósł 4,5 procent.

9 lipca 2010

Z żalem opuszczam Kaukaz, wyjątkowej urody góry, rodzinne wieże budowane wcześniej niż nasze najstarsze romańskie rotundy, pięknych starców o suchych, rasowych twarzach. Każdy z nich wygląda, jakby był co najmniej gruzińskim księciem.

Droga schodzi stromo, niżej płynie Inguri. Nasz Dunajec to przy niej łagodny, powolny strumyk, przynajmniej w górnym biegu. Stopniowo bowiem Inguri z brudnomlecznej, rwącej rzeczki zmienia się w szeroką, szmaragdową damę, poważaną, bo zasila największą w byłych Sowietach hydroelektrownię. Dostarcza ona prąd do całej zachodniej Gruzji i Abchazji (pewnie dlatego w czasie ostatniej wojny Rosjanie zostawili elektrownię w spokoju). Docieramy do stolicy Megrelii, czyli starożytnej Kolchidy. W starożytności był tu grecki port Fasis, obecnie Poti – ważny port gruziński.

Po drodze był megrelski cmentarz. Wyglądał jak nasze ogródki działkowe. Wszędzie stały altanki z ławeczkami, aby w wiosenne święto, gdy dusze zmarłych schodzą na ziemię, móc ucztować przy grobach z przodkami.

Droga z Poti do Batumi jest wysadzana platanami. Stare drzewa tworzą rodzaj pergoli, kwitną eukaliptusy, granaty, drzewa o kwiatach przypominających nasturcje. Krów mniej, za to pojawiły siękozy. Domy wyraźnie zasobniejsze. W ogrodach palmy, winorośl, kukurydza. Na poboczu sprzedają słodkie pomidory i arbuzy, przy których „nasze” to mdła woda bez śladu aromatu

Ten kraj jest nieprzyzwoicie piękny. Na lewo zalesione wzgórza, na prawo Morze Czarne, a pośrodku platany i palmy. Są też zapuszczone plantacje herbaty, której nikt nie uprawia przemysłowo, bo się nie opłaca. Szkoda, pamiętam z 1991 roku wspinały *gruzińskiej czaj*. Teraz zbiera się ją tylko na własny użytek i lokalną sprzedaż.

Wieczór w Batumi – Morze Czarne jest ciepłe z silnymi falami. Schodzę do wody po wygładzonych przez nią kamieniach. Batumi, stolica Adżarii, w starożytności była grecką kolonią.

Samo miasto trochę rozczarowuje, bo przeżywa intensywną przebudowę. Z radzieckiego potworka ma się przeistoczyć w gruziński kurort, a to oznacza rozkopane centrum. Niestety, nie zaczęto od chodników, za to na dziurawym, pamiętającym Nikitę Chruszczowa asfalcie piętrzą się stosy melonów, arbuzów, jabłka, gruszki, brzoskwinie i pomidory.

10 lipca 2010

Żar leje się z nieba. Morze: promenada wysadzana palmami daktylowymi, kwitnącymi rododendronami i bananowcami, które jednak nie owocują. Na rynku znowu stosy jarzyn, owoców, egzotycznych przypraw. Gruziański ser – sunguni – podobny do naszego oscypka, zioła. Tutejszy przysmak to sznury orzechów zatopionych w galaretkę z winogron.

Gruzja ma związki z Polską. Św. Grzegorz Peradze, gruziński mnich, przed wojną wykładał w warszawskim seminarium prawosławnym teologię. Zginął w Oświęcimiu.

ny do naszego oscypka, zioła. Tutejszy przysmak to sznury orzechów zatopionych w galaretkę z winogron.

Niestety, to już ostatni punkt batumskiej wizyty. Trzeba wracać do Tbilisi. Po drodze nadmorskie Kabuleti – mieszanka rozpadających się radzieckich bloków i nowych domów, wyraźnie budowanych z myślą o letnikach. Zadbane ogrody z winoroślą. Za miastem droga prowadzi przez piñowy las. Towarzystwa dogląda tutejszy kowboj, podrostek na koniu.

W miarę oddalania się od morza domy stają się coraz skromniejsze, ale zawsze stoją w zadbanych ogrodach, wśród drzew owocowych, winorośli, kukurydzy i kwiatów. Przydrożne rowy pokrywa płatanina malin i jeżyn, tutaj dojrzewają niemal jednocześnie. Od czasu do czasu jeźdźnię majestatycznie, bez pośpiechu, przekracza krowa lub świnia. Tutejsze bydełko może czuć się bezpiecznie, samochodów jest niewiele. Inna sprawa, że Gruzin za kierownicą czuje się dżygitem, czyli jeździ jak wariat.

Szosa z Baku do Tbilisi jest niezła, ale tylko dwupasmowa. Sporo stacji benzynowych – azerski Socar, stacje tureckie, nawet rosyjski Łukoil (podobno to jedyna rosyjska firma w Gruzji). Najdroższa benzyna – eurosuper – kosztuje 2 lari (euro to 2,30 lari).

Ostatni przystanek przed Tbilisi to Szroszi, wieś garnarzy. Zapowiadają ją rozstawione przy drodze kramy z glinianymi garnkami, dzbanami na wodę i wino.

Odwiedzamy pracownię pana Kahy, szczupłego mężczyzny o pięknej twarzy. Pod ścianą pracowni, nad kołami garncarskimi, siedzi kilku mężczyzn. Koła trochę inne niż u nas, ale zasada ta sama. Garść gliny położona na posypanym piaskiem, wirującym płaskim dysku szybko zmienia się w smukły dzban.

Wieczorem ostatnia kolacja w tbiliskiej restauracji, pożegnanie z gruzińskim jeźdzeniem i winem. Spacer po nocnym Tbilisi. Pełna ludzi aleja Rustawelego, zaułki remontowanej właśnie Starówki, wznosząca się nad miastem twierdza Narikała. Za trzy godziny samolot. *Nachwamdis Sakartwelo* – do widzenia, Gruzjo.

11 lipca 2010

Powrót był bolesny. Na lotnisku w Pradze odebrano mi dwie butelki gruzińskiego wina, kupione w tbiliskiej strefie wolnocłowej. Do Unii Europejskiej nie wolno wwozić alkoholu spoza jej obszaru, nawet jednej butelki. Dla przyszłych turystów rada: wino, dobrze owinięte, trzeba wkładać do nadawanego bagażu, chyba że leci się bezpośrednio.

* * *

Gruzja przestała kojarzyć mi się z wojną. To piękny, gościnnie, szybko nadrabiający wieloletnie zaniedbania i wojenne zniszczenia kraj.

Czy nie spoglądam na Gruzję przez zbyt różowe okulary? Być może. Prezydent Saakaszwili, brutalnie rozpędzając w 2007 roku demonstrację opozycji, pokazał, że potrafi nadużywać władzy. Dwa lata temu dał się sprowokować Rosjanom, czego rezultatem była sierpniowa wojna pięciodniowa i utrata dwóch prowincji – Osetii Południowej i Abchazji. Majowe wybory samorządowe dowiodły jednak ciągłej popularności „Miszy” i jego partii Zjednoczony Ruch Narodowy, popularności, którą potwierdzały także moje liczne rozmowy z Gruzinami. Owszem, przyznawali, że prezydent jest zanadto porywczy, ale jednocześnie podkreślali jego zasługi: wyprowadzenie kraju z gospodarczej zapaści, skuteczne ukrócenie korupcji, otwarcie Gruzji na Zachód. Być może dlatego gruzińskiego prezydenta tak nienawidzą Władimir Putin i Dmitrij Miedwiediew. Mimo wszystkich błędów i przeciwności, gruzińska rewolucja róż odniosła sukces. 🍷

Maria Przelomiec jest dziennikarką i komentatorką zajmującą się problematyką wschodnią. Publikowała między innymi w „Tygodniku Powszechnym”. W TVP prowadzi program „Studio Wschód”.